

Nr. 10. i 11. Lwów 6. i 20. Sierpnia, 1870 r. Rok I.

KARCZMA W LESIE.

OPOWIADANIE.

SPISAŁ

WOŁODY SKIBA.

Urodziłem się pod znakiem barana.

Nie wiem czy tam na czyjekolwiek losy ma jaki wpływ konstellacja, pod którą przyszedłem na świat, a nawet wątpię, żeby jaki gwiazdozbiór dla tego, że go ludzie tem albo owem nazwali nazwiskiem, miał się im za to albo przychylnością dla ich doli wywdzięczać, albo mścić na nich gdy mu się to imie nie podoba. Są to wszystko plotki starej ciotki i nic więcej. W historji jednak mojego życia konstellacja barana odegrała pewną rolę, nietyle zapewne sama przez się, co przez moją ciotkę, która na pierwszym jarmarku jaki przypadł po mojem przyjściu na świat, kupiła moją planetę i odczytała mojej matce.

Dziś z wykorzeniającą się wiarą w przesądy, zapomniano już prawie czem to były tak zwane horoskopy, które u nas nazywano planetami i które po książkach od nabożeństwa, obrazkach świętych i sennikach, największy miały pokup na jarmarcznych straganach, zapełnionych drukowanym i malowanym papierem. Planeta na kawałku bibuły, rodzaj luźnej kartki z książki niewielkiego formatu, mieściła w kilkudziesięciu wierszach, szumnie zatytułowanych *kartą filozoficzną nieba i natury*, całą przyszłość chłopca lub dziewczyny przychodzącej na świat, pod tym albo owym znakiem zodjaku. Były tam banialuki niesłychane, a im niedorzeczniejsze, tem lepszą znajdowały wiarę.

Matka moja rozpłakała się i zmartwiła niezmiernie, odczytawszy mój horoskop. Zmartwienie to sprowadziło na nią chorobę, którą wyssałem z pokarmem i która mało nie przecięła tyle obiecujących dni moich w samym zaczątku, choć o tem w planecie najmniejszej nie było wzmianki.

Już sam ten brak przestrogi co do pierwszego rzeczywistego niebezpieczeństwa jakie mi zagrażało, powinien był osłabić wiarę w proroctwa wydrukowane na bibule, stało się jednak przeciwnie: ta pierwsza choroba jeszcze mocniej utrwaliła przekonanie, że mnie fatalna przyszłość czeka.

— Twój Jaś, kochana siostro, — mówiła ciotka mojej matce — nie będzie ci długą pociechą... urodził się pod znakiem barana.

— Biedny chłopiec, — wzdychała moja matka i tłumiąc łzy przyciskała mnie do piersi.

Naturalnie, że o tych wszystkich szczegółach dopiero później dowiedziałem się od ludzi. Ludzie mi także pokazali moją planetę, w której czytałem między innemi:

„Chłopiec urodzony w znaku barana jest charakteru bardzo łagodnego, urody pięknej, do koni szczęścia nie ma, jęczmień mu się nie wiedzie, u kobiet względu dozna zdrowie straciwszy. Boi się piorunów i ma wstręt do pająka, co się wykłada: że zdrowie jego słabe jak pajęczyna i piorun śmierci prędko je podetnie. Zwłaszcza jeżeli w dziesiątym i dwudziestym drugim roku nie zje go wilczyca, żyć będzie do lat ośmdziesięciu, chyba gdyby wprzód umarł od ospy, dla czego ma nosić sznurek z włosia około bioder i zielonego koloru się wystrzegać, a o nieparzystej godzinie wstawać. Łóżko nogami na wschód, a bydło rogami ku zachodowi obracając. Choroby jego są krwotok i gangrena, lekarstwem szałwia i boże-drzewko na gołem polu w pełnią miesiąca je zbierając. Nów księżyca, wtorek i niedziela są dla niego szczęśliwe dni; pełni i porównania dnia z nocą a także piątki wystrzegać się powinien, zwłaszcza na wiosnę. W liczbie 28 niech ma zaufanie, ale pieniędzy na fant oddanych nie odbirze. W rzemiośle nie tęgi, do

roli nie przydatny, wojskowy z niego żaden, zrobi jednak fortunę, jeżeli się od szwanku w kłótni z sąsiadami uchroni. Jadowite grzyby są dla niego niebezpieczne, psa ani kota niech nigdy nie trzyma.“

Kiedy się dziś zastanowię nad tym niedorzecznym zbiorem wyrazów, których o ile sobie przypominam było tam więcej daleko, nie dziwię się bynajmniej, że kto go z wiarą przeczytał, mógł nad przyszłością moją łzy wylewać. Chłopiec łagodny jak baranek, urody pięknej, już w kolebce skazany na dwukrotne pożarcie przez wilczycę, od czego się mógł ustrzedz tylko strzegąc się ptaków i pełni wiosennych oraz zielonego koloru — był stworzeniem zasługującem na opłakiwanie go zawczasu.

To też kto wie czy ta fatalna planeta nie przyczyniła się bardzo do śmierci matki, która drżąc o moją przyszłość, lecząc mnie z wszystkich chorób szałwią i bożem-drzewkiem, broniąc mi się dotykać do czego bądź zielonego, a w piątki za próg nie wypuszczając, w piątym roku mojego życia po raz ostatni przycisnęła mnie do swojego macierzyńskiego serca i zacną, kochającą duszę swoją, Bogu oddała.

Ojciec mój był miernej zamożności mieszczaninem w pewnem małem miasteczku, położonem w jednej z lesistych okolic kraju naszego. Miał domek niewielki, często to tu to ówdzie potrzebujący łatania i podpory, a przy nim kawał pola. Było to dostateczne dla nas i mieliśmy na jakie takie życie.

Po śmierci matki, ojciec ożenił się powtórnie, kilka miesięcy tylko będąc wdowcem. Miałem tedy macochę, o której nie mogę powiedzieć żeby była zła, ale zajmowała się mną bardzo mało, czego powód raz posłyszałem, kiedy mówiła do sąsiadki pytającej dlaczego nie posyła mnie do szkółki miejskiej.

— I! moja kumo, po co go ta uczyć, przecie i tak wilczyca go zje.

Usłyszawszy te słowa, które były pierwszym szczegółem jakiegom się z horoskopu mojego dowiedział, przeraziłem się niezmiernie. Pobiegłem do stodoły, położyłem się na słomie; przez pół godziny co najmniej opłakiwałem moją młodość, która tak marnie zakończyć się miała.

Potem usnąłem i śniła mi się naturalnie wilczyca.

Z czasem uspokoiłem się cokolwiek. Obawa a raczej pewność strasznej śmierci, bo byłbym dał szyję że taki zgon mnie czeka, lubo ciągle przytomna mej pamięci, nie prześladowała mnie tak bezustannie. Oswoiłem się z nią nieco.

Po dwóch latach pożycia z macochą, ojciec mój umarł. Miałem rok ósmy. Pozostałem na opiece macochy, jako sukcesor skromnej po ojcu pozostałości.

Nie upłynął rok od ojca śmierci, gdy macocha moja poszła za mąż powtórnie. Byłem tedy podwójnym pasierbem, miałem ojczyma i macochę.

Ojczymem moim był Marcin Wilk, który trzymał karczmę o kilka wiorst od miasteczka, przy starym gościńcu prowadzącym przez las. Wyprowadziliśmy się zatem do lasu, bo ojczym zostawszy moim opiekunem, schedę moją wydzierżawił jednemu z sąsiadów za czterysta złotych rocznie. Wymieniam tę sumę, daje ona bowiem wyobrażenie o wysokości mojej spuścizny.

Niepodobna mi opowiedzieć jakiego strachu mnie nabawiły te zaślubiny mojej macochy i przeprowadziny do karczmy.

Odkąd macochę moją zaczęto zwać Wilkową, odtąd moja dziecinna wyobraźnia zaczęła mi coraz częściej przypominać ową groźną z horoskopu wilczycę. Zdawało mi się przytem niekiedy, ze to moja przybrana matka jest ową straszliwą nieprzyjaciółką mej przyszłości, choć to w gruncie jak powiedziałem była kobieta niezła i nie krzywdziła mnie jak inne macochy, co jej tem łatwiej pewnie przychodziło, ze własnych dzieci ani z pierwszym ani z drugim mężem nie miała. Kiedy zaś przyszło mi jeszcze przeprowadzić się do nowej siedziby, w której o wilki naówczas nie było trudno, niedziw więc, że drżałem ze strachu. Zdawało mi się, że jadę na swój własny pogrzeb, gdy mnie mimo oporu pakowano na wóz opatrzywszy kilkoma szturchańcami na drogę.

Pierwsze dni pobytu na nowem mieszkaniu, były dla mnie niepojętą męczarnią. Nie chciałem się na sto kroków oddalać od domu, chociaż i w domu nie było mi wesoło. Tutaj Wilk i Wilkowa, których ojcem i matką nazywać musiałem, tam wilczyca ze strasznemi na mnie czekająca zębami. Było tego zawiele na ośmioletnie dziecko. Ciągła obawa nabawiła mnie choroby, podczas której nie wiem czy mnie szałwią i bożem-drzewkiem leczono, czy nogi mego łóżka na wschód obrócone były, czy nie trzymano przy mnie psa lub kota, bo całego jej przebiegu nie pamiętam. Dość że powstałem z tej choroby, a ze zdrowiem wstąpiła we mnie jakaś rezygnacja, otucha. Raz myślałem sobie, że może to nie prawda co macocha do sąsiadki mówiła, drugi raz znowu, że katastrofa, która mi zagrażała, mogła się trafić dopiero wtedy, gdy będę bezzębnym staruszkiem. W jedno i drugie na żaden sposób wierzyć nie mogłem, zawsze jednak te myśli pocieszały mnie i dodawały mi ducha.

Z czasem zacząłem sobie nawet rozumować:

— Czyby jednak nie było jakiego sposobu na tę przeklętą wilczycę?... Najprostszy sposób nie dać się jej zjeść! Gdyby się na mnie rzuciła, to złapać drąga albo kamienia i w łeb... Byleby tylko silnie, to bestja nie zipnie nawet.

Z początku takie rozumowania kończyły się nowym smutkiem.

— Ba... silnie — myślałem, — ja taki mały dzieciak... lada chłopak w miasteczku dawał mi radę. Wojtek choć o rok tylko starszy, ile razy chciał powalił mnie na ziemię. Antek, ledwie o pół głowy wyższy odemnie, nosił mnie na ręku do koła rynku i wydrzeć mu się nie mogłem. A cóż dopiero wilczyca!...

Przyszedł jednakże czas, że przestałem tak myśleć. Zacząłem spostrzegać się, że rosnę i codzień nabieram siły. Aby ją wypróbować, podnosiłem i dźwigałem rozmaite ciężary. Te próby wyrabiały jeszcze dzielność moich muskułów. Wkrótce zdawało mi się, że z taką siłą jaką mam, mogę się spróbować choćby z wilkiem. Starszych, wyższych, tęższych od siebie chłopców, z łatwością przewracałem na murawę. Wstąpiła we mnie nadzieja, że się nie dam wilczycy. Byłem spokojniejszy i niekiedy nawet zapuszczałem się do lasu.

Dwa lata tak ubiegło, miałem już lat dziesięć i ani razu nie zagroziło mi niebezpieczeństwo przepowiedziane przez autora karty filozoficznej nieba i natury.

Trzeba wiedzieć, że mój ojczym oprócz karczmarstwa i uprawy kawałka pola jakie miał przy karczmie, trudnił się także myśliwstwem i prowadził zaciętą wojnę ze swemi imionnikami, a mojemi nieprzyjaciołmi wilkami. Nie tylko że je strzelał, do otwartego z niemi występując boju, lecz także wojował z niemi na partyzantkę, rozmaite na nie robiąc zasadzki. Skóry wilcze i nagrody płacone przez rząd za tępienie tych zwierząt, sowicie mu opłacały proch i czas stracony — oprócz więc zadowolenia myśliwskiego, miał z tego dochód, do którego niemałą przywiązywał wagę, niezmiernie bowiem lubił pieniądze.

Raz tedy zapuściłem się cokolwiek głębiej w las. Było to z rana, w zimie. Nie pamiętam już czy mnie ojczym posyłał do wioski leżącej o pół mili, do której najbliższa droga przez ścieżkę leśną prowadziła, czy w innym jakim udałem się tam zamiarze, dość że byłem dobrze oddalony od domu, gdy posłyszałem za sobą wilka.

Nie potrzebuję mówić, że w pierwszej chwili zadrżałem. Myśl o zbliżającem się niebezpieczeństwie z początku odebrała mi przytomność, lecz po niejakim czasie opamiętałem się i postanowiłem wykonać mój zamiar, nie poddania się bez walki zębom strasznego zwierzęcia.

Zwróciłem się w tę stronę skąd mnie głos dochodził, sądziłem bowiem, że daleko będę bezpieczniejszym mając wilczycę przed sobą niż za sobą; podniosłem z ziemi największy kawał drzewa jaki znaleść i udźwignąć mogłem i zacząłem iść prosto na nieprzyjaciela. Dziś jeszcze nie pojmuję zkąd mi wtedy przyszła do głowy ta myśl, o prawdziwości której wiele razy potem w życiu miałem sposobność się przekonać, że we wszelkim boju atakujący ma więcej widoku zwycięztwa niż atakowany, rozumie się gdy jeden ani drugi nie ma do wyboru pozycji.

Szedłem tak ze sto kroków, kierowany parę razy jeszcze powtórzonem wyciem. Później wycie ustało, ja wciąż szedłem dalej, aż nareszcie ukazał się oczom moim dziwny i niespodziewany widok.

O pół stai od siebie zobaczyłem wilczycę, nie była ona jednak groźną dla mnie. W miejscu w którem się znajdowała, ojczym mój dnia poprzedniego zastawił żelaza i moja nieprzyjaciołka, — groźba wiecznie wisząca nad mojem życiem, znajdowała się w niewoli.

— No, tej się raz na zawsze pozbędę, — myślałem sobie.

I wznosząc w górę drąg puściłem się ku niej, w zamiarze zabicia jej jednem, najsilniejszem na jakie się będę mógł zdobyć, uderzeniem.

Gdy jednak podszedłem blisko zatrzymałem się zdumiony.

Jakieś uczucie zgrozy i litości zarazem wzruszyło mojem sercem na widok, który mi się przedstawił.

Wilczyca złapała się za ogon. Żelaza trzymały ją silnie. Z razu szamotała się chcąc się wyrwać, lecz tego dokazać nie mogła. Później wyciem zaczęła przywoływać pomocy, lecz pomoc nie przybywała. Widząc się więc uwięzioną i pozostawioną samej sobie, chwyciła się jedynego środka jaki jej pozostawał ażeby odzyskać wolność.

Z trudnością zgiąwszy w kłębek swoje cielsko, zębami, temi zębami, które tylekroć mi się śniły, którem nieraz na jawie zdawał się widzieć przed oczyma, zaczęła odgryzać uwięziony ogon.

Serce mi się ścisnęło, nie mogłem przenieść tego widoku. Drapieżne zwierzę zadające sobie najstraszliwsze męczarnie dla uwolnienia się od śmierci, którą musiało przewidywać, wzbudziło we mnie litość.

Ani na chwilę nie pomyślałem o uwolnieniu jej z tych męczarni przez przyspieszenie jej śmierci; zapomniałem o niebezpieczeństwie jakie mi z tąd grozić mogło, o horoskopie, o wszystkich obawach, które mnie przez kilka lat nieustannie dręczyły...

W mgnieniu oka odrzuciłem od siebie drąg, który był jedyną obroną, przyskoczyłem do żelaz, i wiedząc jak się otwierały, przywróciłem wolność zwierzęciu.

Uwolniona wilczyca jednym skokiem postawiła przednie łapy na moich ramionach.

Wtedy dopiero poczułem raczej niż spostrzegłem całe niebezpieczeństwo mego postępku, całą nierozwagę mojej litości.

Byłem bezbronny, przejęty, nagłym skokiem wilczycy przerażony. Straciłem przytomność i równowagę, padłem na wznak, czułem zimny język zwierzęcia dotykający mojego policzka...

Więcej nie pamiętam...

Nie wiem ile czasu ubiegło, ale słońce już było dość wysoko, gdym przyszedł do siebie.

Rozglądałem się w koło niedowierzając czy żyję jeszcze. Zdawało mi się, że to co zaszło było snem, to znów, że spostrzegam po za krzakiem oczy wilczycy, że słyszę jej wycie, że czuję jej język na mej twarzy. Widok żelaz przekonał mnie wkrótce, że to czegom doznal snem nie było, a przeświadczenie o tem natchnęło mnie obawą, że niebezpieczeństwo choć chwilowo minęło, powrócić może.

Przejęty trwogą, co sił puściłem się ku domowi.

Kiedym przychodził, pies którego trzymał mój ojczym spostrzegłszy mnie, rzucił się na mnie szczekając zajadle, choć zwykle łasił się wesoło i lizał mi ręce ile razy powracałem. Nie pojmowałem co znaczy ten gniew jego. Byłby mnie ugryzł, gdybym nie zaczął wołać na niego. Poznawszy mój glos, odbiegl odemnie parę kroków i patrząc na mnie z podełba, wył żałośnie.

Przyczynę tej nagłej nieprzyjaźni Kruczka zrozumiałem dopiero gdym wszedł do izby — byłem powalany krwią wilczą.

Spostrzegła tę krew macocha, uderzył ją widać mój przestrach, pomięszanie w jakiem powracałem zdyszany i zawołała:

— Jasiek, a tobie co?...

— Wilczyca — mogłem tylko wymówić i osłabiony upadłem na łóżko.

Dość długo niepodobna było słowa ze mnie wydobyć; w godzinę noże dopiero zdołałem opowiedzieć co zaszło, wyznając w jaki sposób wilczycę uwolniłem z niewoli.

W dziecinnej mojej głowie długo się jeszcze potem pomieścić nie mogło, jakim sposobem moje proste i naturalne opowiadanie, wprowadziło mego ojczyma w gniew najstraszliwszy.

Nigdym nie widział go w takiej pasji: Oczy mu krwią nabiegły, zęby się ścisnęły, głosu nie mógl z piersi wydobyć, tylko mu coś w gardle zachrapało okropnie i z ściśniętemi konwulsyjnie pięściami, rzucił się na mnie.

Macocha również może jak ja przestraszona, usunęła się do kąta.

Gdy pierwsze uderzenie jego pięści spadło mi na plecy, byłem pewny że zabije. Instynktem raczej niż świadomie usuwając się przed jego razami, znalazłem się za progiem.

Wtedy mój ojczym kopnął mnie silnie nogą w plecy i zatrzaskując drzwi za mną, zawołał okropnym głosem:

— Precz, nie pokazuj się tu więcej!...

Nie wiem czy mówiąc te słowa, myślał mnie naprawdę wypędzić z domu na zawsze, widząc go jednak w takiem uniesieniu, w jakiem go nigdy jeszcze nie widziałem, wziąłem ten rozkaz na serjo i lasem poszedłem w świat, nie myśląc na nowo narażać się na jego razy.

Później zrozumiałem powód gniewu mego ojczyma. Wypuszczeniem wilczycy pozbawiłem go nagrody pięcio-rublowej i tego co za skórę zwierzęcia mógł dostać. W każdym więc razie czekałaby mnie kara, bo taka strata dla mojego ojczyma była ogromną, byłby się przecież obszedł ze mną łagodniej gdyby nie to, że podówczas najgwałtowniej potrzebował pieniędzy.

Długoby było opowiadać, jaką drogę odbyłem idąc przez las, ja dziesięcio-letni dzieciak, bez grosza, lub kawałka chleba w kieszeni, potłuczony, z guzami na głowie, z siniakami na ciele i z myślą przepełnioną okropnemi obrazami.

Gdzie szedłem? nie wiedziałem, jak długo szedłem? nie pamiętam, którędy? nie obchodziło mnie to wcale. Tego tylko jednego byłem pewny, że w tej drodze spotka mnie śmierć w wilczej skórze.

Mam to szczęśliwe usposobienie, że pewność grożącego niebezpieczeństwa, choć z początku rodzi we mnie obawę i mało przytomności nie odbiera, przecież w końcu przeradza się w determinację i zdanie się na los.

— No i cóż — myślałem, ma mnie zjeść wilczyca, to trudno, nie moją głową na tak straszną biedę poradzić. Wypędzili mnie do lasu, a ten las może nie ma końca, i co krok mogę napotkać wilka, a czy go spotkam prędzej albo później, czyż to w gruncie nie wszystko jedno. Zawsze przyjdę na jego zęby, już inaczej nie może być. Bądź co bądź, nie będę się dawał dopóki będę mógł, a jak nie poradzę to już nie moja wina. Tymczasem nie mam powodu bać się niczego. Nic straszniejszego od zębów wilczycy spotkać mnie nie może, a gdyby nawet coś takiego spotkało to i toby wyszło na dobre, bo zginąłbym inakszą śmiercią.

Każda inaksza śmierć wydawała mi się wówczas igraszką w porównaniu z tą, na jaką mnie skazywał baran z niebieskiego zwierzyńca.

Szedłem tedy śmiało i bez obawy. Gdy mi dokuczał głód mówiłem sobie:

— Ha! umrę z głodu, zawsześ to nie od wilczycy.

Gdy w nocy zaczęło mi straszliwiej jeszcze niż w dzień dokuczać zimno, myślałem:

— Mniejsza z tem, lepszy mróz niż wilk!

Naturalnie, że z taką rezygnacją można zajść daleko, więc niedziw że do końca lasu doszedłem.

Było to jakoś nazajutrz koło południa.

Kiedy oczom moim z po za rzedniejących drzew ukazało się szerokie pole, serce mi inaczej bić zaczęło, nogom osłabłym nowych przybyło sił, skrzydeł prawie i zapomniałem o głodzie, o strudzeniu, o zimnie, o planecie.

Wyszedłem z lasu i z daleka prosto przedemną narysowała się ku krańcowi widokręgu wieś. Postanowiłem więc pójść do niej, nim jednak wykonałem to postanowienie, zwróciłem się

jeszcze raz ku lasowi, roześmiałem się na cały głos i pokazałem figę wilczycy.

Nie było moim zamiarem pozostać długo we wsi, do której zmierzałem. Chciałem się tylko tam posilić, czem będzie można i pójść dalej.

Wtenczas dopiero po wyjściu z lasu, pierwszy raz zadałem sobie pytanie:

— Pójść dalej?... gdzie?...

Dziecinny mój rozum odpowiedział wówczas na to pytanie o ile pamiętam, w ten sposób:

— Żeby mnie wilczyca nie zjadła, powinienem być zawsze tak daleko od lasu, jak tylko być może, ot tak, żeby tam gdzie będę, ludzie nawet nie słyszeli o wilkach, albo żeby tutaj był jeden koniec świata, a las na drugim końcu. To też będę szedł tak długo wymijając wszystkie lasy, aż dopóki tak daleko nie zajdę, że przez trzy dni żadnego boru żadnego gaju nie zobaczę. Tam już będę bezpieczny.

Z takiem postanowieniem przyszedłem do wsi i do pierwszej chałupy wszedłem, prosząc żeby mi się ogrzać pozwolono i choć kawałek chleba dano.

Natrafiłem na jakichś poczciwych ludzi, którzy nie odepchnęli biednego dziecka, lecz szczerze się mną zajęli, karmili, grzali, a obsypywali zapytaniami:

— A jak ci na imie? a zkądeś ty? a gdzie idziesz? a czyj ty?

Gdy mi przyszło odpowiadać na te życzliwe pytania, nie mogłem sobie wybić z głowy, że jeżeli powiem prawdę to mnie jeszcze na wóz wsadzić gotowi i do ojczyma Wilka odesłać. Bałem się tego niezmiernie i gdyby do tego przyjść miało, jestem pewny, że uciekłbym nazajutrz dlatego tylko, żeby nie mieszkać w lesie. W pierwszej wsi do której doszedłem, las rysował się na krańcu horyzontu tak wązkim pasem i z jednej tylko strony, że zacząłem wierzyć iż muszą być miejsca, w których go zupełnie nie widać. Tam iść pragnąłem, a wrócićbym się nia chciał za nic w świecie. To mnie skłoniło, żem na żadne pytanie prawdy nie powiedział, tylkom zmyślił: że mi na imię Walek, że jestem z Wólki, że idę do Lipek, że mój ojciec jest kowalem w Wólce i posłał mnie do swego brata, co jest ogrodnikiem w Lipkach.

Żadnej Wólki ani żadnych Lipek nie znałem, i nie było w okolicy. Zmyśliłem sobie te nazwiska, na taki sposób jak się inne wsie nazywały. Słyszałem w karczmie u ojczyma o różnych wsiach, o Olszynkach, o Woli, nie wiedząc gdzie się znajdują, więc myślałem sobie:

— Kiedy może być Wola, to może być Wólka, kiedy gdzieś są Olszynki, to mogą być gdzie i Lipki.

Ludzie słysząc o wioskach, których w okolicy nie było, kiwali głowami i litowali się nademną.

— Biedne dziecko!... z tak daleka wędruje samo.

To znów pytali:

— A gdzież to te Lipki, do których idziesz?

Ukazywałem palcem w stronę przeciwną lasowi.

— Tam... to pewno z jakie trzy mile...

— O! będzie pewno ze sześć mil — odpowiadałem, nie wiedząc nawet dobrze co to jest mila.

— I jakże ty tam trafisz sam jeden?

— Oho! znam drogę, alboż to ją raz robiłem.

— Ale ty nie masz nic, ani grosza, ani kawałka chleba. Czemuż ci tatulo nie dali?

— Tatulo sami nie mają nic.

W taki lub podobny sposób wywikływałem się z zadawanych mi zapytań i szedłem coraz dalej, coraz dalej, żywiąc się tem co mi litośść podała.

Kiedym przychodził do jakiej wioski, najpierw upatrywałem jakiego chłopca lub dziewczyny mniej więcej w moim wieku, — do takich jakoś najwięcej miałem śmiałości i zapytywałem:

— Słuchaj-no, a znasz ty wilka?

— A znam — odpowiadało dziecko.

— A jak wygląda?

— No, jak pies.

Takiej rozmowy było mi dosyć. Gdym ją usłyszał, postanawiałem natychmiast, że za nic w świecie nie pozostanę w tej wiosce. Szukałem więc tylko gościnności i posiłku, a wypocząwszy przez noc, pożywiony kawałkiem chleba lub trochą kartofli, szedłem dalej, a zawsze do Lipek.

Gdym przyszedł do jednej wioski o zmierzchu i dowiedziałem się już że w niej znają wilki, poszedłem do jednej chaty jak zwykle prosić o gościnność.

— A czyj ty? — zapytał mnie gospodarz.

— Walek, kowala z Wólki — odpowiedziałem jak zazwyczaj.

— A łżesz — usłyszałem odpowiedź.

Ciało mi zsierstniało ze strachu. Myślałem że tu już pewno poznają mnie kto jestem i do karczmy w lesie odeszlą.

Zamilkłem, nie wiedząc co powiedzieć.

— Łżesz mówię tobie — prawił dalej gospodarz, Wólka jest tutaj, ja jestem kowal, a ty przecie nie mój!... Mój Walek, patrzaj, włazi na piec... Chodź no tu Walek.

Syn prawdziwego kowala z Wólki, rzeczywisty Walek, wylazł z kąta i przybliżył się do mnie.

— Znasz tego chłopaka? — pytał go ojciec.

— Nie.

— A ty, — rzekł zwracając się do mnie i wskazując swojego chłopca, — co na to powiesz?... Czy ty może jesteś ten Walek.

— Nie, — wyjąknąłem nieśmiało.

— A no, jakiś ty Walek, i jakiego kowala, i z jakiej Wólki?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć: u jednego kowala nie mogło być przecież dwóch Walków, zdawało mi się to jasnem; w jednej Wólce nie mogło być dwóch kowali, było to dla mnie jeszcze jaśniejszem: a dwóch Wólek nie mogło być na świecie, to ostatnie wydało mi się najjaśniejszem ze wszystkiego. Dziwiłem się nawet, że była jedna, kiedy ja ją wymyśliłem.

Oniemiałem.

— Walek! — zawołał prawdziwy kowal na swego syna.

— A co, tatulu? — spytał prawdziwy Walek.

Byłem przez czas mojej wędrówki tak przyzwyczajony do nazywania się Walkiem, że i ja także równocześnie odpowiedziałem:

— A co?...

— Wyrzuć tego włóczęgę — rozkazywał dalej kowal z Wólki synowi, — tego przybłędę co powiada, że on jest moim synem a nie ty.

Prawdziwy Walek schwycił mnie za kark i wypchnął za drzwi.

Zacząłem uciekać co sił starczyło. Psy kowala puściły się za mną i szarpały moje odzienie.

Przepędziłem tę noc pod gołem niebem, głodniusieńki. Mróz zdawał mi się okropny. Jak się stało, że tej nocy nie zmarzłem, nie pojmuję.

Nazajutrz szedłem dalej.

Trwało tak nie wiem dobrze ile, lecz najmniej kilkanaście dni. Różne wioski spotykałem po drogach, różne trafiały mi się przygody, prócz wiosek przechodziłem przez parę nędznych mieścin, lecz nie zatrzymałem się nigdzie, — wszędzie wiedziano, że wilk wygląda jak pies i nigdy się nie zdarzyło, żebym przez trzy dni z rzędu nie zobaczył lasu.

Nareszcie jednego dnia nowy widok ukazał się moim oczom. Nie była to już wieś ani miasteczko, było to coś czego nie rozumiem, coś co mi się pomieścić nie mogło nie tylko w głowie, ale nawet w oczach.

Całą połowę widnokręgu, jaką jednem objąć mogłem spojrzeniem, zajmowało jakieś niezrównanie ogromne zbiorowisko domów, ale domów nie takich jakie widywałem po drodze. Zdaleka już osądzić mogłem, że w niejednym z nich kościół mego rodzinnego miasteczka mógłby się wygodnie pomieścić. Z pomiędzy niezliczonego mnóstwa tych domów, strzelały w niebo rozmaitego kształtu wieże po dwie lub po jednej, a tak wysokie, że pojąć nie mogłem jak się obłoki o nie nie rozedrą. Naliczyłem tych wież kilkanaście, domy także liczyć zacząłem, ale mi prędko liczb zabrakło.

Zachodziłem w głowę, myśląc ktoby mógł mieszkać w takich ogromnych domach i co mogą znaczyć te wieże.

— Wieże naturalnie — myślałem — nie mogą należeć do kościołów, bo gdzież kto słyszał, żeby było tyle kościołów tak blisko siebie?... a w domach muszą mieszkać wielkoludy.... najniezawodniej wielkoludy. Ludzie zwyczajni nie mogliby takich domów wystawić, a wreszcie po co by je stawiali?... Choćby stół na stole jeszcze stołek postawić, żadenby ręką do pułapu nie dosięgnął!... Przyszedłem tedy do królestwa wielkoludów!... Wystawić sobie, zkąd mi na to przyszło!.. Ani myślałem, że te moje podarte chodaki to są siedmio-milowe buty.

Spojrzałem z poszanowaniem na krypcie, które mi mało z nóg nie spadały.

Na tak dowcipne tłumaczenie przedstawiającego mi się widoku, naprowadziło mnie przypomnienie bajki, którą mi jeszcze matka moja opowiadała o królestwie wielkoludów, do którego tylko w siedmio-milowych butach dojść było można, ale za to kto tam doszedł a sprawiał się dobrze, mógł zostać mężem zaklętej królewny.

Wyznaję, że nie chęć ożenienia się z zaklętą królewną pierwsza mi się nasunęła, lecz myśl prawdziwie przerażająca zajęła mój umysł.

— Królestwo wielkoludów — mówiłem sobie, — jeśli tutaj ludzie tacy ogromni, jakież to tu wilki być muszą!... Wilczyca zwyczajna mogłaby mnie zjeść, a cóż dopiero wielko-wilczyca?.. połknęłaby mnie jak ślinkę!...

Zrazu wzięła mi ochota cofnąć się i zmykać jak najdalej od królestwa wielkoludów. Przy siedmiomilowych butach nie zdawało mi się to trudnem. Ale wkrótce przyszło mi na myśl, że królestwo wielkoludów nie wygląda jakoś na las, a więc w niem może nie być wilków.

— Jeżeli nie ma — myślałem, — to pójdę tam, będę się sprawował dobrze, strachów żadnych się nie zlęknę bo to nie wilki i z zaklętą królewną się ożenię.

Wkrótce potem spotkałem nie wiele młodszą odemnie dziewczynę.

— A widziałaś ty wilka? — rzekłem do niej.

— Wilka?... — odpowiedziała — jakiego wilka?.. nie widziałam.

— A wiesz jak wygląda?... — pytałem dalej.

— Wilk?... — odrzekła, — mówię żem nie widziała, nie wiem jak wygląda.

Pomimo zmęczenia podskoczyłem z radości i zdecydowałem się ostatecznie całą szybkością siedmiomilowych butów pędzić do królestwa wielkoludów, aby w niem zostać na zawsze.

Długoby potrzeba było gadać, żeby opowiedzieć te wszystkie myśli, jakie mi się przesunęły przez głowę nim się dowiedziałem nareszcie, że to co miałem za krainę olbrzymów było tylko miastem Warszawą, którego nazwisko nieraz w domu słyszałem i które sobie wyobraża-

łem kubek w kubek podobnem do mojego rodzinnego miasteczka.

Na tej wiadomości straciło moje obuwie, bo je przestałem uważać za siedmio-milowe buty, ale Warszawa nic nie straciła, podziwiałem ją tak jakby była w istocie państwem wielkoludów i choć się przekonałem, że ją zamieszkują ludzie zwykłego wzrostu, nie przestawałem się zdumiewać zkąd się tych ludzi bierze aż tyle, jak drzew w lesie koło naszej karczmy, a wszyscy tak po pańsku poubierani, ani jednego takiego jak na wsi.

Z początku zdejmowałem czapkę przed każdym kogo spotkałem, ale wkrótce zabolała mnie ręka, tak często musiałem to powtarzać. Uznałem więc za dogodniejsze iść z gołą głową i nieść czapkę w ręku.

Chodziłem tak godzin kilka z otwartą gębą, dziwiąc się wszystkiemu. Zapomniałem o głodzie i zmęczeniu. Byłem szczęśliwy, byłem w miejscu, w którem wilków nie znano, sądziłem że nie potrzebuję o nic się troszczyć.

Dopiero koło wieczora przypomniałem sobie o jedzeniu i o potrzebie spoczynku i zacząłem się niepomału kłopotać, do któregoby domu udać się po jedno i drugie. Na wsi było mi jakoś śmielej, wchodziłem do ludzi takich jak ja, ale w mieście gdzie sami panowie w takich wielkich domach mieszkają, nie wiem czemu straciłem śmiałość i nie wiedziałem gdzie się obrócić.

Znużenie przemogło mnie nareszcie i powiedziałem sobie:

— Niech co chce będzie, zawsze to nie wilczyca; przeżegnam się i do pierwszych drzwi jakie zobaczę wejdę.

(C. d. n.)

KARTKI Z PAMIĘTNIKA
Z CZASOW OSTATNIEGO POWSTANIA.

(Ciąg dalszy.)

Nie będę się wdawał w dalszy opis, naszego oddziału, bo już działanie zbiorowe zakończone zostało. Gdyśmy siedzieli w wąwozie garstka (około 50 ludzi) kosynierów, zapewne na ochotnika się wyrwawszy przybiegła ku nam, a na widok kosy, której Moskale najbardziej się obawiają, wojsko schowało się do miasta i my poprzedzając kosynierów tamże wpadliśmy. Z kosynierów nie wielu jednak znalazło się ochotnika iść do miasta i zatrzymali się oni na brzegu przy pierwszym na osobności stojącym kościołku. My pomni komendy: „na bagnety“ wleźliśmy do miasta. Była to nie łatwa sprawa, bo Moskale pochowawszy się do domów strzelali do nas z okiem, a my ich nie widząc biegaliśmy po ulicach każdy sobie na osobniaka.

Tu dodać potrzeba, że żuawów przystrojono w czerwone czapki, a właściwie jarmułki, których jednak nie dostarczono dla wszystkich, ci którzy je mieli na głowach brani byli szczególniej na cel przez Moskali i wyginęli zaraz wszyscy, innych ten zaszczyt później spotkał.

Tak biegając po ulicach a postępując naprzód dotarliśmy do rynku gdzie spotkaliśmy Rechebruna, który dowiedziawszy się, żeśmy już ruszyli do miasta i zostawiwszy swój oddzialik sam pospieszył konno i dotarł również do rynku. Zabito pod nim konia, później i jego raniono lekko, gdyż o ile był bezczelnie śmiałym o tyle szczęśliwym. Pomimo swej rany mógł wyjść z miasta i wrócić do Krakowa.

Spotkawszy się z kapitanem B. kazał mu iść do Kurowskiego i zażądać ataku kawalerji. Kapitan B. wziął mnie ze sobą a po drodze spokaliśmy Żmudzina M. zabrał i jego i razem odbywaliśmy ten marsz, który nie był łatwiejszy w odwrocie, bo Moskale z tych samych domów strzelali, lecz co gorsza, że sił nam brakło i padaliśmy ze znużenia, co gdy jeden uczynił inni mu towarzyszyli aby uchronić się od strzałów moskiewskich. Szczęśliwie jakoś wyszliśmy z miasta i stanęliśmy pod kościółkiem gdzie znaleźliśmy naszych kosynierów śpiewających: „Kto się w opiekę“... właśnie pozostały mi w pamięci słowa, które zbliżając się tam zasłyszałem „Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga“...

Kościołek był otoczony wałem a z wału widać było o wiorst dwie naszą armję stojącą. Naprzód chmara, bo przeszło tysiąc osób kosynierów, za nimi kawalerja, a w bok strzelcy.

Właśnie gdy stanęliśmy na wałach jakiś kosynier ujrzawszy nas zawołał: „rejterada!“ a chociaż głos jego nie mógł być słyszany przez oddział tak daleko stojący, to jednak jakby na zaklęcie widziałem jak w tej chwili cała kawalerja poczęła co sił stało uciekać, a tuż za nią kosynierzy zbili się w kupę i zakotłowało jak w garnku. Wszystko to poczęło się cofać, w krótce ta kupa kosynierska rozdzieliła się na trzy wielkie kupy: do pierwszej należeli ci, którym najpilniej było za kawalerją podążać, druga za nią i trzecia.

A tu od kościołka wymaszerowali kosynierzy pojedyńczo za nimi, ale i kozunie w tej chwili się pokazali po bokach, na widok których ktoś potrafił tę tłuszczę kosynierów uciekającą na chwilkę wstrzymać, a w tejże chwili znikli kozacy z horyzontu. Wszystko to obserwowałem z wałów, gdyż dla znużenia iść nie mogłem, opatrywaliśmy przytem rannych.

Nareszcie i my trzej pozostali Żuawi ruszyliśmy i ze dwóch rannych z nami podążało, ale trudno nam było dawać im pomoc gdyż sami byliśmy bez sił.

Nawet i w ucieczce nie łatwo kupą iść i zanim wszyscy ruszyli już i my zdążyliśmy do kupy. Był tam jeden wóz na który zabrano 16 rannych i nam zrobiono ten zaszczyt że posadzono na wóz, lecz dla niewygody tak własnej jak i rannych, woleliśmy dobywając ostatki sił iść pieszo.

Nie sądzcie jednak czytelnicy aby z tego oprócz nas trzech, nie umiem powiedzieć, nie udało mi się bowiem zabrać pod tym względem wiadomości. Wiem tylko, że z pomiędzy rannych przyszedł do zdrowia Wędrychowski, drugi jego brat także ciężko ranny umarł.

Na tem skończyła się wyprawa na Miechów. Kogo tu winić?

Nas? — Cóż mogliśmy więcej zrobić nadto



KSIĄŻE LEON SAPIEHA.

dwutysięcznego oddziału idącego na zdobycie Miechowa tylko nas 70 tam posłano dla spełnienia tego czynu, nie, oprócz nas inną ulicą posłano dwa plutony kawalerji złożone z 60 ludzi, które także zrobiły atak i dotarły aż do rynku, z których 4 zdrowych i piąty ranny wróciło z miasta.

Czy z naszego oddziału pozostał kto więcej cośmy zrobili? Kazano nam iść, szliśmy, innym kazano stać, stali. Żołnierz wtedy tylko jest winien gdy nie słucha rozkazu, myśmy słuchali.

Kurowskiego? Zapewno, bo wiedząc, że nic nie umie nie tylko był głupi obejmując dowództwo, ale postąpił sobie nikczemnie, bo na niego spada spółwina za krew przelaną i wymordowany kwiat bohaterskiej młodzieży.

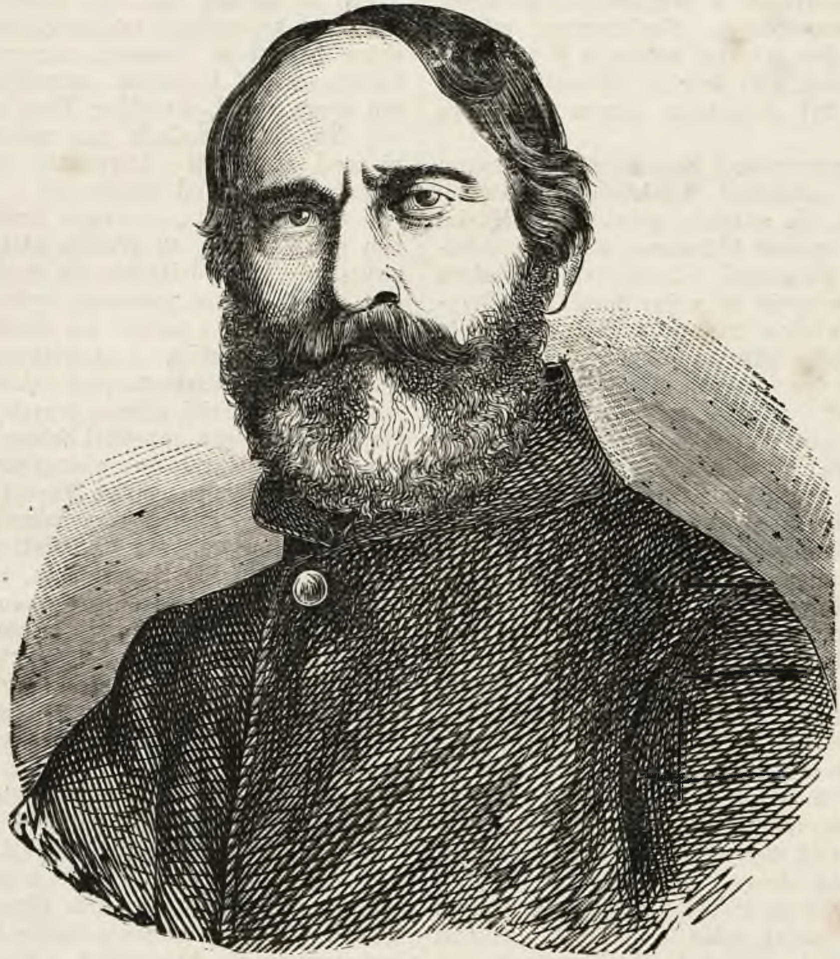
W czasie rejterady kapitan B. chciał mu w łeb wypalić. Gdy już, jak to opisałem wszystko uciekało i my ruszyliśmy z wałów, nagle wylazł gdzieś z rowu Kurowski zbliżył się do nas i imponującym głosem krzyknął: „Gdzie są żuawi?“ Kapitan B. chciał mu odpowiedzieć z rewolweru, ja go powstrzymałem i czuję wyrzut sumienia po dziś dzień.

Lecz jeżeli się jest pobłażliwym dla głupców nawet i po takich zbrodniach, to cóż powiedzieć o tych niedołężnych członkach rządu narodowego, którzy wybierali takie narzędzia jak Kurowski i im powierzali dowództwo.

Opowiadano mi jako fakt pewny, że bitwa Miechowska nastąpiła li w skutek tego, że do oddziału miał przybyć niejaki oficer Czapski aby objąć dowództwo, uprzedzając jego przybycie ruszono na Miechów.

Taki zarząd jak u nas i takie bitwy jak Miechowska powtarzały się przez całe powstanie. Oddawano dowództwo ludziom niemającym wyobrażenia o rzeczy. Bo ci co siedzieli w rzędzie narodowym także nie mieli o niczem wyobrażenia, przelewali najświętszą krew i zaprzepaszczali sprawę radzi, że osłonięci maską nie byli dosięgalni ani dla Moskali, ani mogli być przez nas ocenieni. Niech na ich głowy spadnie krew obficie w kraju przelana!

Nie Murawjewów i Potapowów winić za to co się działo i dzieje, bo zwierzętom nie można odjąć ich zwierzęcej natury, ale tych co niedołężnem kierownictwem, nieraz zbrodniczemi intrygami oddali nas pod stryczek i topór wściekłych satrapów.



LESZEK DUNIN BORKOWSKI.

Ranni na pobojowisku zostali wymordowani. Na ogół na placu boju z naszej strony pozostało od 100 do 150 ludzi gdyż oprócz naszego oddziałku i kawalerji, nie wiele zginęło z drugiego

oddziału żuawów, lecz ci najwięcej położyli Moskali, i strzelców także nie wielu padło. Okrążali oni Miechów od lewego skrzydła. Moskali można liczyć zabitych i rannych od 50 do 100.

Trupów naszych bohaterów oddano na pożarcie świniom. A gdy okoliczni mieszkańcy chcieli takowe odpędzać Moskale do nich strzelali.

(C. d. n.)

KSIĄŻE LEON SAPIEHA.

Książe Leon Sapieha urodził się w r. 1802. Wychowanie otrzymał w Warszawie, poświęcił się naukom prawniczym. Skończywszy takowe wstąpił w bardzo młodym wieku, w r. 1824, do służby publicznej, przy księciu Lubeckim, który jak wiadomo był ministrem skarbu Królestwa polskiego.

Lubecki przeznaczył Sapiehę wraz z drugim niepospolitych zdolności młodzieńcem Piotrem Michałowskim, do oddziału górniczego. Musiał więc Sapieha opuścić Warszawę, aby przewodniczyć pracom górniczym i hutniczym. Moskwa sposobiła się właśnie do wojny tureckiej. Przygotowywano wielkie zapasy amunicji, a gdy przyszło do próby okazało się, że kule działowe znajdujące się po arsenałach nie odpowiadały kalibrowi dział.

Musiano więc wszystko przelewać, albo nowe lać. Taką to robotą zarządzał ks. Leon w pierwszych początkach swojej służby. Kule, które on lał nie doszły swego przeznaczenia, a gdy zastanawiano się nad tem, co z temi wielkiemi zapasami począć, odpowiedział Sapieha: że się przydadzą.

Jakoż, przydały się — w powstaniu r. 1831 strzelały polskie działa temi kulami.

Przez swe stosunki rodzinne, zostawał książe Leon w styczności z osobami już to należącemi do dworu carskiego, już znowu piastującemi najwyższe urzędy tak w Petersburgu jak w Warszawie. Przez to samo, że był szwagrem księcia Adama Czartoryskiego, (który miał za sobą siostrę ks. Leona) i zięciem ordynata Zamojskiego, miał utorowaną drogę i ułatwiony przystęp do najwyższych sfer dworskich i rządowych. Oprócz tego jednak umiał sobie osobistemi zaletami swojemi zjednać przychylność i zaufanie we wspomnionych sferach. Między innemi był książe Leon w dobrych stosunkach z Benkendorfem, generał-policmajstrem osobą wówczas wielkich wpływów w Petersburgu. Za pośrednictwem Benkendorfa udawało się też nieraz księciu przez wpływy dworu petersburgskiego poskramiać dzikie wybryki wielkiego księcia Konstantego w Warszawie. Raz udało mu się wyjednać tą drogą uwolnienie przeszło 70ciu osób, które W. ks. Konstanty nieprawnie więził.

W czazie wybuchu rewolucji lipcowej znajdował się ks. Leon w Paryżu. Był świadkiem nie tylko ruchu i wybuchu, ale przestrachu jaki wywołała w świecie dyplomatycznym. W sam dzień kiedy walka uliczna wybuchła, był dyplomatyczny obiad u ks. de Broglie. Całe towarzystwo schroniło się do piwnic, widziano tylko nogi tłoczących się ulicami tłumów, a niebezpiecznie było wyglądać okienkami piwnicznemi, aby niebyć narażonym na bardzo doraźną ludową egzekucję. Książe Leon doświadczył na swojej własnej osobie wtedy wielkiej sympatji jaką lud francuzki żywił do Polaków.

Podczas gdy cudzoziemcy inni, zwłaszcza z arystokratycznego świata, nie mogli się pokazywać na ulicach, ks. Leon przejechał bezpiecznie przez najbardziej zaniepokojone miejsca, a skoro powiedział tłumowi zatrzymującemu jego karetę, że jest Polakiem, natychmiast torowano mu drogę wśród okrzyków: Vive la Pologne!

Na dowód zaufania zaś naładowano karetę różnemi sprzętami, które snać rozmaite osoby chciały uchronić od zniszczenia.

Okoliczność ta, że książe bawił za paszportem moskiewskim za granicą ułatwiła mu nadzwyczajnie takie działanie dla rządu narodowego, gdy w Warszawie powstanie wybuchło.

Rząd narodowy polecił mu zbadać usposobienie rządów: francuzkiego i angielskiego. Nowy rząd francuzki, pod naciskiem opinji publicznej okazywał więcej przychylności, chociaż przychylność ta, o jakiej księcia Leona zapewnil Sebastiani, była nieszczerą, jak to okazały owe wiekopomne słowa samego Sebastianiego po upadku Warszawy. Żądano od ks. Leona aby między francuzkiemi generałami jakiego zdolnego wodza dla Polski zjednał. Udało się to już było do tego stopnia, że jeden z generałów bardzo zdolnych był gotowym udać się do Polski i już nawet był książe Leon zebrał dla niego bardzo znaczną sumę, ktorej żądał (na co między innemi wszystkie brylanty księżny Jadwigi w zastaw poszły), gdy nagle rozkaz gen. Gerard dał tamtemu inne przeznaczenie i projekt ów spełzł na niczem. Dziwna, że wtedy szukano generałów za granicą kiedy miano we własnej armji wojskowych, którzy w zagranicznych armjach jako generałowie celowali.

Znosił się książe Leon i z angielskimi naczelnikami rządu, z lordem Grey i Palmerstonem. Znalazł ich bardziej niechętnymi, a raczej szczerszymi, niż francuzkich. Objawiali ówcześni ministrowie angielscy to samo zdanie jakie wypowiedział Russel o naszem powstaniu i rządzie w r. 1864. Jeżeli Polska się wybije na wolność to może mieć sprzymierzeńca w Anglji, ale dla wybicia jej na niepodległość nie będzie Anglja wojny prowadzić. Gdyby Polacy byli się dokładniej przypatrywali zachowaniu się Anglji i Francji w obec Grecji walczącej przeciwko nierównie słabszemu mocarstwu niż Moskwa, byliby mogli już powziąść przekonanie, że tutaj nie mają co liczyć na pomoc, dopóki o własnych siłach nie staną. Angielscy mężowie rządowi pragnęli wtedy

zachowania dobrych stosunków z Moskwą. Miała wielkie wpływy w kołach dyplomatycznych księżna Lieven, która tak dalece miała przewagę nad Palmerstonem, że ten nie chciał się nawet widzieć z Wielopolskim, który był wysłany od rządu narodowego do Londynu. Widzenie się Wielopolskiego z Palmerstonem dało się tylko tym sposobem uskutecznić, że na prywatnem zebraniu w jednym z salonów londyńskich, przedstawił Sapieha Wielopolskiego Palmerstonowi i następnie wywiązała się między niemi rozmowa, w której zresztą Wielopolski dowiedział się tyle ile Sapieha już wiedział. Ks. Leon miał przystęp bardzo ułatwiony do angielskich ministrów jak w ogóle do salonów dyplomatycznych, bo zostawał za granicą ciągle za paszportem moskiewskim i nie był jeszcze jawnie skompromitowanym w obec rządu moskiewskiego. Ale to trwało nie długo. Książe Leon nie pragnął znać karjery dyplomatycznej, więc zaciągnął się w szeregi wojsk ojczystych. Był zrazu przy naczelnym wodzu, później przydzielony został do korpusu, który miał Dwernickiemu, przyciśnionemu na Wołyniu przez Rydygiera, przyjść w pomoc. Wiadomości i doświadczenia jakich nabył Sapieha w kopalniach i przy fabrykach górniczych, posłużyły mu do tego stopnia, że oddano mu cały zarząd amunicji. Następnie powrócił Sapieha wraz z korpusem ku Warszawie, a po upadku powstania przeszedł z Dembińskim na pruskie terytorjum.

Szczęście sprzyjało Sapieże, iż nie potrzebował udawać się na tułactwo; udał on się do Krakowa, gdzie wcale był uprzejmie widzianym u konsula austrjackiego, Lorenza. Dla tego czuł się ks. Leon bezpiecznym, pomimo, że go przestrzegano jakoby Moskale go szukali i mieli zamiar swoim trybem, bez wszelkiego pytania wpaść do Krakowa i porwać. Dla ubezpieczenia się pytał książe Leon swojego protektora Lorenza, czy to jest możliwe. Lorenz go uspokoił i książe zamyślał się na dobre w Krakowie rozgościć, gdy mu nagle pewnego dnia doniesiono, że Lorenz dwa razy był u niego, pod jego nieobecność w domu. Domyślając się ważnej wiadomości, poszedł ks. Leon natychmiast do Lorenza, który mu ostatecznie powiedział, że istotnie tej nocy jeszcze mają wkroczyć Moskale, że zatem on już nie może ręczyć za bezpieczeństwo księcia. Wtedy znalazł książe Leon schronienie w Galicji.

Rząd moskiewski a nawet car osobiście był najzawziętszym przeciwko członkom rodzin arystokratycznych, którzy brali udział w powstaniu. Sapieha został na śmierć skazany, dobra jego wszystkie zostały skonfiskowane, jednak pozostawiono matce dożywocie na tych dobrach, która dochody oddając synowi ułatwiła mu sposobność powetowania, przy znakomitym jego talencie finansowym, strat poniesionych przez konfiskatę.

Książe Leon zakupował dobra rozliczne w Galicji. Krasiczyn zawdzięcza jemu, że został zachowany w pomnikowej swojej postaci. Zostawszy obywatelem tutejszym, nie poprzestał on jedynie na poprawieniu swoich stosunków majątkowych, ale wziął się usilnie do prac obywatelskich dla kraju, zwłaszcza na polu ekonomicznem.

Nie było ważniejszej instytucji w kraju, do której podniesienia ks. Leon nie przyłożył ręki.

W ruchu roku 1848 nie brał książe Leon czynnego udziału. Był on wprawdzie kandydatem na sejm rakuski w okręgu lubaczowskim; ale w owym czasie, który w ogóle wszędzie nowe żywioły na jaw wydobywał, padły w tym okręgu głosy na Smolkę.

Jako prawdziwy mąż polityczny nie dał się tem książe Leon odstraszyć od poświęcenia swej czynności krajowi. Widzimy go odtąd głównie zajętego sprawą, która chociaż sama za siebie nie ma cechy politycznej, jest wszelako i pod politycznym względem niepospolitej doniosłości. Zwrócił książe w perjodzie po r. 1848 główną usilność swoją ku zaopatrzeniu kraju w koleje żelazne.

Po długich staraniach udało się nareszcie uzyskać koncesję na kolej lwowską, a zatem poszło już w dalszem następstwie uzyskanie pozwolenia na budowę innych linji. Chociaż obecnie różni inni przedsiębiorcy rzucili się do budowania w kraju naszym kolei żelaznych, to jednak nie można inaczej twierdzić, jak tylko, że pierwszy popęd ku temu zawdzięcza kraj księciu Leonowi Sapieże.

Rok 1860 spowodował czynniejsze niż kiedykolwiek wystąpienie ks. Leona na polu politycznego działania.

Wystąpił on jako kandydat na posła i otrzymał aż z siedmiu okręgów wyborczych dowód zaufania, jakie umiał sobie między szlachtą pozyskać.

Przyczyniło się to niezawodnie do tego, że i rząd uznał go za najodpowiedniejszą osobistość na marszałka.

Stanowisko tak wysokie jakie zajął książe Leon przez zaufanie współobywateli musiało na niego zwrócić uwagę rządu, przeciwnie zaś znowu i zaufanie jakie mu rząd okazał, wywarło znamienity wpływ na opinję pewnej części obywatelstwa. Ztąd pochodziło, że nieraz już krążyły pogłoski o zamianowaniu księcia ministrem albo namiestnikiem. Niemasz wątpliwości, że cesarz i ministrowie nieraz zasięgali zdania księcia Leona, i że były chwile gdzie tylko od jego woli zależało przyjąć tekę ministra lub namiestnikowstwo w Galicji. Na poufne zapytania w tej mierze odpowiada książe Leon, że głównym powodem uchylania się od takich godności było zawsze to: że nie umie po niemiecku. Rzeczywiście, jest to powód ważny, a jednak szkoda,

że nas powód ten pozbawia czynności księcia Leona, którąby w naszych sprawach krajowych mogła być bardzo pożyteczną. Mieliśmy tego dowód, kiedy książe Leon był przez kilka lat członkiem lwowskiej Rady miejskiej, która jego wpływowi głównie zawdzięcza uporządkowanie swoich spraw rachunkowych. Spodziewaćby się należało, że kiedyś, gdy się ziszczą nasze nadzieje na całkiem narodową administrację, będzie kraj mógł jeszcze korzystać z niepospolitych ekonomicznych zdolności księcia Leona.

LESZEK DUNIN BORKOWSKI.

Był czas, kiedy pod „Leszkiem“ nie rozumiano w kraju naszym, mianowicie w kołach wykształceńszych nikogo innego, jak Leszka Borkowskiego, pomimo że Leszków mnóstwo było w różnych kołach towarzyskich, z najrozmaitszemi nazwiskami.

Borkowski był to ów Leszek, *„par excellence“* którego jedni kochali, drudzy nienawidzili i bali się, a wszyscy znali jako jedynego w swoim rodzaju pisarza, któremu nikt nie mógł odmówić pierwszorzędnych zalet pisarskich.

Jak wszystkie umysły twórcze i samoistne, zaczął Leszek zawód swój literacki od poezji, a chociaż się rzucił pierwej na inne pole, nie opuściła go nigdy pierwotna twórczość i samoistność zdania. Leszek należał do tego nielicznego grona literatów, którzy w najniepomyślniejszych dla naszego piśmiennictwa czasach, mieli odwagę budzić życie umysłowe w kraju, w całym narodzie, mieli odwagę być literatami, kiedy każdy literat polski przez rząd był uważany za podejrzanego człowieka, a w obec znacznej części publiczności za człowieka, co najmniej niepraktycznego, jeżeli nie zgoła za półgłówka.

Największy rozgłos zyskała jego „Parafiańszczyzna“.

W roku 1848 obrono go posłem ze Lwowa na sejm wiedeński.

Po wypadkach 1848 r. Leszek Borkowski powrócił znowu do prac literackich.

Po nastaniu epoki konstytucyjnej w Austrji Borkowski został znowu posłem. Należy on do skrajnej opozycji i jest jednym z najsilniejszych jej filarów. Znakomity mówca, bystry polityk, zawsze wierny jednym zasadom niezachwianie postępuje na raz obranej drodze. Tych zasad Leszka Borkowskiego nie potrzebujemy tu opisywać, znane są one krajowi najlepiej. W stosunku do Austrji jest federalistą, jest oraz silnym i śmiałym propagatorem zasad demokratycznych, a Polska ma w nim najwierniejszego i najczynniejszego syna.

ŻURAW.

— Żurawiu! z północy wiedziesz swój lot pono?
Powiedz mi co słychać nad wiślańską stroną?
Czy znasz jedno gniazdo co nad Narwią leży,
W miejscu gdzie do Wisły Narew z Bugiem bieży?
Czyś widział, oparty o starą kaplicę,
Duży dwór drewniany, i piękną dziewicę?
Starca sędziwego,
I psa im wiernego?..

— Znam miejsce gdzie Narew tuli Bug do łona,
I to gdzie z swym miłym w nurtach Wisły kona.
W chwili gdym przelatywał, widziałem kaplicę:
Starzec leżał w trumnie;... a piękną dziewicę
Trzech jeźdźców brodatych, z długiemi pikami,
Klusem unosiło pustemi drogami.
Dwór był zrabowany;
A pies rozszarpany!..

JAN KRZYWDA.

PIWO.

(Dokończenie).

Piwo zawiera w sobie pewną ilość soli alkalicznych, dla tego właśnie było używanem przez niektórych lekarzy w rozmiękczeniach kości, w cierpieniu rachitycznem, gdzie właśnie słabość jest przyczynioną w skutek braku części solnych mineralnych. Znowu wedle opinji innych, użycie piwa ma przeszkadzać tworzeniu się kamieni w pęcherzu urynowym i jakoby statystyczne wiadomości wykazują że cierpienie na kamień bez porównania jest rzadszem w stronach, gdzie dużo konsumują tego napoju.

Ale nie miejscem jest tutaj wdawać się w opisy kuracyjne, dotyczące się zastosowania tego napoju w rozmaitych słabościach. Zostawmy tę rzecz lekarzowi, opiece którego chory w razie potrzeby powierza swe zdrowie, a powiedzmy lepiej słów kilka o piwie zapatrując sie na nie ze stanowiska czysto hygjenicznego, czyli inaczej wyrażając o użyciu piwa w stanie mniej więcej normalnym naszego organizmu.

Piwo dobre, klarowne, gorzkawe, nie tylko nie szkodzi żołądkowi, lecz owszem poprawia jego stan, nadaje mu nieco hartu, oddziaływając nań na sposób innych goryczy. Następnie absorbuje się i dostaje się do krwi dosyć łatwo. Dalej będąc bogatem w cząstki pożywne — przyczynia się widocznie do karmienia naszych tkanek. Powiększa wydzielenie uryny jako też błon śluzowych. Zawierając w sobie trochę alkoholu jest nieco podniecającem — jednak na organa reprodukcji wywiera wpływy zupełnie

odwrotne i z tego względu może być uważanem jeżeli nie osłabiającem, to przynajmniej dobrze mitygującem.

Zasadzając się na tem cośmy wyżej powiedzieli, radzimy używać piwa osobom osłabionym; osobom budowy wątłej, nie bogatej w mięśnia i pozbawionej tłuszczu, oddającym się silnie pracy fizycznej; używającym wiele ruchu, przechadzek, przyjażdżek i t. p. Zarówniež radzimy użycie tego napoju osobom, których pokarm codzienny nie jest zbyt dostatecznym bądź co do ilości, bądź co do jakości potraw użytych — osobom używającym przeważnie potrawy roślinne a niedostatecznie pokarmy mięsne.

Przeciwnie zaś zalecamy powstrzymanie się od piwa, lub też używanie go w małej ilości, osobom zbyt młodym i niedostatecznie dojrzałym pod względem wieku: osobom zbyt otyłym, krwistym, odznaczającym się obfitym rozwojem budowy fizycznej; prowadzącym życie małoruchowe; używającym dużo pokarmów mięsnych posilnych, lub też mającym we zwyczaju używanie innych trunków jak wino, arak i t. p.

Nie mam potrzeby mówić o tem że przy użyciu piwa, powinniśmy się starać przedewszystkiem, aby takowe było w dobrym gatunku i posiadało wszystkie przymioty, o których wspominaliśmy uprzednio. — Ze wszystkich gatunków piwa najlepszem i najpożądańszem jest piwo bawarskie jak pod względem smaku tak też pod względem swych skutków na nasze zdrowie. Massy fabrykantów zagranicznych podziwia i zazdrości Bawarczykom tego pierwszeństwa — i nie może zrozumieć jakim porządkiem trunek którego sposoby przygotowania nie są tak trudne, w innych miejscowościach Europy w żaden sposób nie daje się udoskonalić na tyle, aby mógł rywalizować z piwem bawarskiem.

Najprawopodobniej, że do doskonałości piwa bawarskiego, najwięcej się przyczynia sumienność i wrodzona powolność czy też cierpliwość charakteru Bawarczyków. — Sumienność przyczynia się do tego, że Bawarczykowie produkując swój narodowy trunek — używają najlepszy materjał do fabrykacji takowego. Charakter zaś Bawarczyków ma tutaj to do siebie, że oni posiadają na tyle cierpliwości, iż nie zważając na wielki odbyt ich ulubionego napoju, nie fabrykują takowego jak tylko w porze roku, w której temperatura jest najwięcej sprzyjającą do wywarzania piwa — to jest w miesiącu marcu i październiku.

W innych krajach wszelkie wyroby piwa bez porównania są mniej doskonałe, ale natomiast fałszowanie posunięte jest za granicę wszelkiej przyzwoitości. Dodają wszystko to, na co tylko wyobraźnia ludzka może się zdobyć.

Zbytecznem byłoby opisywać rozmaite sposoby falszerskie, jakich się fabrykanci dopuszczają — tem bardziej, że w naszym kraju większa część takowych mieć miejsca nie może, z powodu że samo fałszowanie pociągnęłoby za sobą koszta znacznie większe, aniżeli przygotowywanie piwa za pomocą sposobów naturalnych.— Kraj nasz pozostaje jeszcze w tem korzystnem położeniu, że bez porównania więcej obfituje w płody niezbędne do życia i codziennego użytku, aniżeli w rozmaite produkta przechodzące nasze potrzeby i śmiało mogące się zaliczyć do zbytków narodowych. Dla tego to właśnie jeżeliby ktoś u nas chciał zastąpić niedostatek jęczmienia lub chmielu za pomocą fig, rodzynek lub gorzkich migdałów — zfalszowałby nie tylko piwo ale i swą kieszeń w sposób bardzo niekorzystny.

Paryż d. 2 lipca 1870 r.

Dr. W. BARTOSZEWICZ.

ZARAZA PSZCZÓŁ.

Znakomity nasz pszczołoznawca ks. Dolinowski, pisze do Gazety rolniczej: „Od roku 1862 zaraza pszczół wielkie czyni szkody naszemu pszczolnictwu, a jednakże nie każdy, nawet z tych co bezpośrednio z pszczołami mają do czynienia, wie o niej; są nawet tacy co nie chcą wierzyć w to, żeby jaka zaraza istniała, dla tego, że u siebie jej nie dostrzegli. W okolicy, w której pszczoły wymarły z zarazy, znajduje się zwykle wiele próżnych ulów; otóż niechaj ten, kto życzy sobie uczynić doświadczenie, pomiędzy takowe umieści ul zdrowych pszczół, a w ciągu jednego roku ulegną one zarazie. Naprzykład, jeżeliby to było uczynionem na początku roku bieżącego, w miejscowości, w której grasowała zaraza w roku przeszłym lub 1868, to w miesiącu czerwcu r. b. już pszczoły ulegną zarazie, lecz tego po locie ich nie można będzie jeszcze poznać, i dopiero w roku przyszłym w tymże miesiącu i następnym całe gniazdo widocznie dla każdego zaraza ogarnie. Najprzód ginie matka, a potem pszczoły robocze. Lud wiejski, nie domyślając się zarazy, częstokroć sam nie wiedząc o tem, przyczynia się do jej rozprzestrzenienia. „Przekonałem się bowiem, powiada ks. Dolinowski, że jeżeli właściciel pasieki zarażonej, nie zmieniając odzieży i bez obmycia ciała, wstąpi do pasieki, gdzie pszczoły są jeszcze zdrowe i jakiś czas tam przebywa wtedy, gdy pszczoły tłumnie latają, n. p. w pogodne dnie maja i czerwca, — niezawodnie zarazę pomiędzy niemi zaszczepi. Ule po pszczołach, na takową wymarłych, albo jakiekolwiek materjały lub narzędzia, z miejsc zarazą dotkniętych sprowadzone, najzdrowszą pasiekę na niechybną zagładę podają."

Ks. Dolinowski odróżnia jednakże zarazę zgnilca, przez zaziębienie lub zbytni upał w licznych pasiekach zjawiającą się i udzielającą zdrowym pszczołom przez użycie narzędzi lub materjałów, zetknięcie się z zarażonemi ulami mających, — od zarazy z rosą spadającej z powietrza, która od razu całe pasieki napada i to w całej okolicy — i taka to zaraza, wedle zdania szanownego sprawozdawcy, od lat kilku

w sąsiednich Prusiech, w gubernjach zachodnich i południowych w Królestwie i Galicji grasuje.

Widząc zagrożone pszczolnictwo nasze tą klęską, ks. Dolinowski upatruje jedyny ratunek w przecięciu epidemji i na ten koniec radzi:

1) Wszędzie, gdzie tylko zaraza panowała lub się okazała, wyniszczyć bezwłocznie nie tylko ule, ale i barcie po lasach, zarazą dotknięte. W takich jednakże miejscowościach, nawet po wyniszczeniu ulów, barci i materjałów podobnych, nowych pasiek bezwłocznie zaprowadzać nie należy, bo spotkałby je takiż sam los, co poprzednie.

2) Ponieważ handlarze i kramarze, nabywający na spekulację wosk po wsiach, jeżeli takowy pochodzi od pszczół zarażonych, przyczyniają się także do szerzenia zarazy, przeto każdy sumienny posiadacz takiego wosku, obowiązany jest zużytkować go w domu, jeżeli nie życzy sobie stać się powodem strat swych współobywateli. „Quod tibi non vis, ne alteri feceris". Niechaj nikt się tem nie tłumaczy, że sprzedaje wosk nie zgniły i niezgalareciały lecz zdrowy, bo i ten ostatni, tak dobrze jak zepsuty, zarazę zaszczepia, a kto nie wierzy, niechaj sprobuje pierwej w swojej pasiece.

3) Przedaż ulów po pszczołach wymarłych z zarazy, praktykowana przez wieśniaków, jest złem, któremu wszelkiemi siłami zapobiegać należy. Zdaje się bowiem wieśniakowi, że dosyć jest ul taki starannie oczyścić i wytrzeć, żeby niebezpieczeństwa uniknąć. Nie jeden mówi, że osadzone przezeń pszczoły w takim ulu były zdrowe i na robotę chodziły, aż dopiero *na drugi rok coś się im stało*, że wyginęły. Na szlązku, naznaczona jest kara za przechowywanie i sprzedawanie ulów po pszczołach upadłych na zarazę.

4) Nie rozmnażać wiele rojów przez ablegry i tworzyć je wcześnie, n. p. w końcu maja a nie w końcu czerwca. Utrzymywać umiarkowaną ilość ulów w jednej miejscowości, i to gromadnych, musznych.

Dalej ks. Dolinowski utyskuje na to, że w kraju naszym pszczolnictwo jest oddane w ręce włościan nieoświeconych, którzy, rządząc się przestarzałą i zgubną rutyną i będąc nieświadomi głównych zasad postępowej umiejętności, wiele zrządzają szkód nawet nie domyślając się sami tego. Gdy zaś sami panowie ziemianie bezpośrednio w pielęgnowanie pszczół się nie wdają i takowe oddawane jest w ręce ludzi ciemnych, którzy książek traktujących o pszczolnictwie nigdy nie czytają, przeto nie dziwo, że u nas intratna ta gałęź przemysłu wiejskiego nie tylko w zaniedbaniu jest zupełnem, ale nawet do kompletnej chyli się zagłady. Wedle zdania ks. Dolinowskiego, opartego na kilkoletnich badaniach, stosunek pasieczników umiejących czytać do nieumiejących, jest jak 5 do 1000. Cyfry zbyt wymowne, żeby potrzebowały komentarzy.

WIADOMOŚCI HYGJENICZNO-LEKARSKIE.

I.

Śmierć pozorna w skutek zaduszenia czyli zamartnica. Sztuczne oddychanie. Ratowanie osób pozornie zmarłych. Potrzeba rozpowszechnienia tego rodzaju wiadomości.

W życiu codziennem często zdarzają się wypadki tak zwanej śmierci pozornej czyli zamarcia, w których każdemu, zwłaszcza osobom nieobeznanym z nauką lekarską, zdawać się może, iż nieszczęśliwa ofiara wypadku zasnęła snem wiecznym.

Nie da się zaprzeczyć, iż odróżnienie śmierci pozornej od prawdziwej jest niezmiernie trudne mimo to jednak istnieją pewne oznaki cechujące oba rodzaje śmierci. — Do takich oznak należy następująca cecha. Pozornie lub rzeczywiście zmarłego umieszcza się w ciemnym pokoju i zapala się lampę i świecę. Następnie bada się pod światło rękę obumarłego lub rzeczywiście zmarłego. Jeżeli brzegi palców przeglądanych pod światło będą wyglądać różowo i przezroczyście wtedy człowiek jest dotknięty pozorną śmiercią. W przeciwnym razie ręka zupełnie zasłoni światło, które przez brzegi palców nie będzie przeświecać. Za ten sposób przekonania się o śmierci człowieka otrzymał niedawno niejaki dr. *Canier* nagrodę margrabiego d'Orches wynoszącą 20.000 fr.

Zastanówmy się najpierw: co nazywamy śmiercią pozorną? każdy z czytelników widział nieraz człowieka omdlonego — był świadkiem omdlenia. Otóż zamarcie można porównać do głębokiego zemdlenia. Jeżeli pewna osoba w skutek jakich bądź przyczyn nie daje znaku życia, jeżeli serce i puls bić przestaje, skoro przestanie oddychać, jeżeli nic nie wie i nie czuje co się z nią dzieje, a w gruncie rzeczy pasmo życia nie zostało w zupełności przerwanem lecz tylko nadwerężonem, wtedy mówimy iż taki człowiek zmarł pozornie. Przyczyny takiego obumarcia bywają rozmaite. Zdarzyć się ono może we wszystkich chorobach trapiących rodzaj ludzki. Najpospolitszemi atoli przyczynami pozornej śmierci bywają nagłe i niespodziewane wypadki, już to całkiem przypadkowe, już też z umysłu wykonane przez samego człowieka w celu samobójczym, lub przez innych ludzi w zamiarze zbrodniczym.

Stosownie więc do tego cośmy powiedzieli najczęściej też zdarza się śmierć pozorna w skutek: *a) utopienia*; *b) powieszenia*; *c) uduszenia (zagardlenia)*; *d) zaczadzenia* lub *zaduszenia się złem powietrzem*; *e) przysypania ziemią*; *f) zmarznięcia*; lub wreszcie *g) uderzenia piorunem*.

W śmierci pozornej życie jest jakby zawieszone — że tak rzekę sparaliżowane. Wszystkie

wprawdzie czynności (funkcji) organizmu są wstrzymane na krótszy lub dłuższy czas ale iskierka życia tli się jeszcze. Dlatego też człowieka na pozór zmarłego możemy ożywić i doprowadzić go do pełni życia lecz do tego trzeba się brać energicznie i umiejętnie, gdyż inaczej śmierć prawdziwa w samej rzeczy staje przed nami w całej potędze żałobnego majestatu.

W nagłych wypadkach pozornej śmierci rzadko kiedy przy boku nieszczęśliwej ofiary znajduje się lekarz, a że rzecz nie cierpi zwłoki więc pierwszej pomocy udziela ktokolwiek z obecnych przy wypadku osób. Do niesienia pomocy każdy jest obowiązany. Jest to jeden z najświętszych obowiązków człowieka wypływający z wzniosłej zasady miłości bliźniego. Zaniedbanie tej powinności pociąga za sobą wielką odpowiedzialność w obec całego społeczeństwa i prawa.

Cóż się dzieje przy ofiarze wypadku sprowadzającego śmierć pozorną? Oto zazwyczaj osoby otaczające chorego przejęte grozą śmierci tracą jak to mówią głowę i zamiast ratować osobę zagrożoną niebezpieczeństwem śmierci wpadają w lament, lub ubolewają nad nieszczęściem, co dowodzi czułego serca lecz bynajmniej dobrze nie świadczy o przytomności umysłu lub poczuciu obowiązku ciążącego na każdym członku społeczeństwa. — A przecież los nieszczęśliwego zależy w pierwszej podanej mu pomocy. Czyż więc się godzi niewiedzieć jak sobie poradzić w nagłym wypadku wymagającym spiesznego ratunku? Niestety w podobnych razach rzadko spotykamy skuteczną pomoc. Nie tylko osoby których uczucie ludzkości zniewala do ratowania nieszczęśliwych ofiar, ale nawet osoby, do których to z powołania należy, jak n. p. cyrulicy, policjanci i urzędnicy gminni, zazwyczaj nie wiedzą co właściwie w takich razach czynić wypada chwytając się czasami bezmyślnych lub barbarzyńskich środków nie przynoszących zaszczytu ludzkiemu rozsądkowi.

Tej powszechnej a smutnej niewiadomości dziwić się nawet nie można. Prócz profesorów medycyny publicznej w uniwersytetach i szkole chirurgicznej z obowiązku nauczających o ratowaniu pozornie zmarłych, nikt u nas nie stara się o rozpowszechnienie tego rodzaju wiadomości miedzy publicznością zarówno na wsi jak i w mieście.

W szkole z której powinno się wynosić zasób wiadomości niezbędnych w życiu praktycznem, nie nauczają jak należy pielęgnować zdrowie ten największy skarb człowieka, bez którego nie ma szczęścia i dobrobytu, i jak sobie można poradzić w rzeczach nagłych aż do przybycia lekarza. Z kazalnicy rzadko kiedy słyszeć można podobne nauki. Zkądże mamy o tem wszystkiem wiedzieć jeżeli nie przez samouczenie.

Zaniedbanie w szkołach naszych nauki o pielęgnowaniu zdrowia (hygjeny) i wiadomości lekarskich niezbędnych dla każdego człowieka (medycyny ludowej) przynosi nieobliczone szkody pojedyńczej osobie, rodzinie, powiemy nawet całemu narodowi i mści się nielitościwie na każdym kroku podczas zdrowia i choroby.

Niedostatkowi temu postanowiliśmy zaradzić o ile nasze siły na to starczą a rozmiary pisma pozwolą.

Tym razem pogadamy z czytelnikami o ratowaniu osób utratą życia zagrożonych za pomocą sztucznego oddychania. — Zwykłą wadą wszystkich pism popularnych traktujących o tym przedmiocie jest zbytnia rozwlekłość. Nie chcielibyśmy w nią popaść i dla tego postaramy się jak najtreściwiej rzecz całą wyłożyć.

Człowiek bez powietrza ani chwili żyć nie może, przez oddychanie wziewamy niezbędny do utrzymania życia gaz ożywczy a niewidzialny, zawarty w powietrzu. Skoro oddychanie zostanie przerwanem przez jakąbądź przyczynę wtedy życie ustaje i stajemy u wrót śmierci. Otóż we wszystkich niemal wypadkach śmierci pozornej przez zaduszenie, wspomnianych już na początku niniejszego artykułu, oddychanie zostaje przerwanem. Chcąc więc człowieka będącego w takim stanie przywrócić do życia trzeba się starać o przywrócenie oddechu.

Oddychanie polega na ruchach klatki piersiowej, które to ruchy odbywają się w pewnym porządku, to jest naprzemian wciągamy powietrze czyli oddychamy w skutek rozszerzenia się klatki piersiowej i wyziewamy powietrze niezdatne do życia czyli wydychamy, a to przez opadanie tejże klatki. — Te ruchy aż do zgonu odzywają się siłą muskułów czyli mięśni oddechowych.

Jeżeli więc mięśnie przestały poruszać klatkę piersiową trzeba ruchy tej ostatniej sztucznie wywołać za pomocą tak zwanego *sztucznego oddychania.* Za pomocą niego możemy przywrócić życie zarówno topielcowi, wisielcowi jak uduszonemu, zmarzniętemu lub wreszcie rażonemu piorunem. — We wszystkich razach sposób ratowanie jest jednaki.— Zobaczymy teraz co w nagłych wypadkach czynić wypada.

W razie wypadku śmierci pozornej przedewszystkiem trzeba usunąć to wszystko co było jej powodem, a więc topielca trzeba wyjąć z wody, zdjąć pętlę lub opaskę uciskającą szyję wisielca, wynieść uduszonego z miejsca przepełnionego szkodliwemi wyziewami, wreszcie odsypać ziemię uciskającą przyduszonego. Do ratowania przystępuje się bez względu jak dawno wypadek miał miejsce. Wtedy tylko można nie mieć nadziei przywrócenia do życia ofiary nagłego wypadku, gdy skóra (naskórek) daje się zdzierać w kształcie cienkich płatków i gdy na powierzchni ciała znajdują się plamy niebieskie, lub zielo-

nawo-żółte, które podczas ratowania nie znikają. Są to oznaki rozpoczętego gnicia ciała i świadczą one o śmierci prawdziwej. — Jednocześnie *jedna z osób obecnych wypadkowi udaje się po lekarza* i zawiadamia władzę policyjną o zaszłym wypadku.

Jeżeli na miejscu wydarzonego wypadku nie można przystąpić do ratowania natenczas nieszczęśliwą ofiarę przenosi się ostrożnie lecz spiesznie do najbliższego domu.

W ogóle unikać należy wszelkiego zgiełku i wrzawy. *Trzy a najwięcej cztery osoby wystarczają do niesienia pomocy.* Wszystkie inne osoby powinny się oddalić. Napływ ciekawych jest bardzo szkodliwy.

Osobę pozornie zmarłą wynosi się na świeże powietrze. Jeżeli ratowanie odbywa się w pokoju należy pootwierać wszystkie drzwi i okna. *Twarz, szyja i piersi powinny być wolne.* Osobę obumarłą należy uwolnić od wszelkich więzów krępujących ciało. *Szybko więc rozpina się ubranie lub całkiem rozbiera się osobę zamarłą.* Nie trzeba jednak tarmosić obumarłego ale raczej porozcinać odzież, jeżeli w zdjęciu napotykamy przeszkody.

Następnie przystępujemy do przywrócenia przerwanego oddychania. W tym celu oczyszcza się za pomocą palca usta (jamę ustną), nos i gardziel (początek przewodu oddechowego) zmarłego ze wszystkiego co w tych częściach ciała znajdować się może, jak n. p. wody, piasku, błota, śliny, śluzu i t. p.

Osobę zamarłą ostrożnie przewraca się na brzuch i jednocześnie pod jej głowę podkłada się jedną rękę, na której czoło pozornie zmarłego spoczywa w taki sposób aby nie dotykało żadnego przedmiotu. Wskutek takiego postępowania język obumarłego wysuwa się ku przodowi, przez co ciecze zawarte w jamie ustnej swobodnie odpływać mogą, a powietrze do krtani łatwiejszy ma przystęp. — Jeżeli mimo to oddychanie jest słabe, niewyraźne, lub całkiem nie istnieje, natenczas w celu przywrócenia oddychania trzeba użyć następującego sposobu.

Chorego kładzie się na boku, *daje się mu do wąchania ammonjak żrący* (Liquor ammonii caustici), jeżeli jest pod ręką, *a twarz i piersi skrapiają się wodą zimną*, rzucaną z pewnej odległości z niejaką siłą. *Jednocześnie piersi i nogi starannie rozcierają się flanelą*, materją wełnianą, szczotką, kawałkiem płótna, słowem czemkolwiekbądź co mamy pod ręką. -- Jeżeli to nie pomaga, jeżeli obumarły nie oddycha, to *należy przystąpić do sztucznego oddychania.* W tym celu bierze się twarda poduszka, lub też w braku tejże zwija się ubranie obumarłego, derka, na kształt poduszki, którą kładzie się na ziemi. Zamarłego układa się na brzuch, twarzą do dołowi, tak aby piersi spoczywały na poduszce. (C. d. n.)

WIADOMOŚCI W GOSPODARSTWIE POZYTECZNE.

Cebula służy kurom.

Jedno z angielskich czasowych pism poleca cebulę jako wyborny pokarm dla kur a zarazem jako lekarstwo i środek prezerwatywny przeciw różnym chorobom tychże, mianowicie skaleczeniu i zapaleniu gardzieli, ócz i głowy. W skład cebuli wchodzi głównie łatwo się ulatniający ostrego zapachu olejek, który także zapobiega napuchnieniu, gdy pszczoła dotknie kogo swem żądłem. Daje się kurom, mianowicie młodym, drobno posiekaną, z mąką zmieszaną cebulę, dwa lub trzy razy tygodniowo, ile jej zechcą zjeść.

Wartość jednego ptasiego gniazda.

Towarzystwo Opieki nad zwierzętami w Turyngji (w Niemczech) ogłasza następującą odezwę zasługującą ze wszech miar na uwagę czytelnika: Kochany rolniku! Twój chłopiec z nudów albo też przez psotę zabrał jedno gniazdo ptasie, w którem znajdowały się wróble albo inne ptaki — wszystko jedno: czy to były jaja czy też pisklęta. Było ich tam najmniej 5 w gniazdku. Każde z młodych ptasząt potrzebuje dziennie około 50 sztuk gąsienic lub innych owadów, których im na pożywienie przynoszą stare z sąsiednich ogrodów, a zatem dziennie młode ptaszęta potrzebują tych owadów 250 sztuk. Karmienie trwa od 4 do 5 tygodni, ale przypuszczając tylko dni 30, wypada więc na jedno gniazdo 7,500. Każda gąsienica pożera dziennie liścia i kwiatu ilość, równającą się swojej własnej wadze. Przypuszczając że poczwarka potrzebuje na dzień jeden kwiatek, to w 30 dniach pożera 30 owoców pod postacią kwiatu, a więc 7,500 sztuk gąsienic, w 30 dniach pożerają 225,000 takich kwiatów. Gdyby więc twój chłopiec nie ruszał był gniazda, to ty i twoi sąsiedzi bylibyście zebrali o 225,000 więcej śliwek, gruszek, jabłek. Jeżeli jeszcze gąsienica, dla przyjemności na dzień jeden zniszczy 10, 20, do 30 kwiatów, jak to często robi, lub gdy wskutek zniszczonego liścia, kwiaty nie znajdując pożywienia wiedną i opadają — to powyższa cyfra straconego owocu, dla ciebie i twoich sąsiadów, staje się jeszcze o wiele większą. Łatwo więc teraz możesz obliczyć, jak wielką posiada wartość, jedno ptasie gniazdo!

Treść: *Karczma w lesie, opowiadanie. Spisał Wołody Skiba. — Kartki z pamiętnika z czasów ostatniego powstania. — Książę Leon Sapieha (z ryciną.) — Leszek Dunin Borkowski (z ryciną). — Żuraw, wiersz Jana Krzywdy. — Piwo, przez Dra W. Bartoszewicza. — Zaraza pszczół, przez ks. Jana Dolinowskiego. — Wiadomości hygjeniczno-lekarskie. — Wiadomości w gospodarstwie pożyteczne.*

Wydawca i odp. redaktor: **August L. Skerl.**

Z drukarni K. Gromana i sp. pod zarządem A. Skerla.